

kładka

zima 2022 (4)

proza / poezja / esej

Józefina Arodaz

Karolina Bober

Karolina Broda

Kajetan Czerwiński

Bartosz Danisiewicz

Krzysztof Kwintkiewicz

Jagoda Marcinkowska

Jowita Mazurkiewicz

Katarzyna Orzeszek

Aleksandra Paszko

Kuba Schuwald

grafika: Marcin Salwin

Internetowy Magazyn Literacki

Internetowy Magazyn Literacki ***Składka***

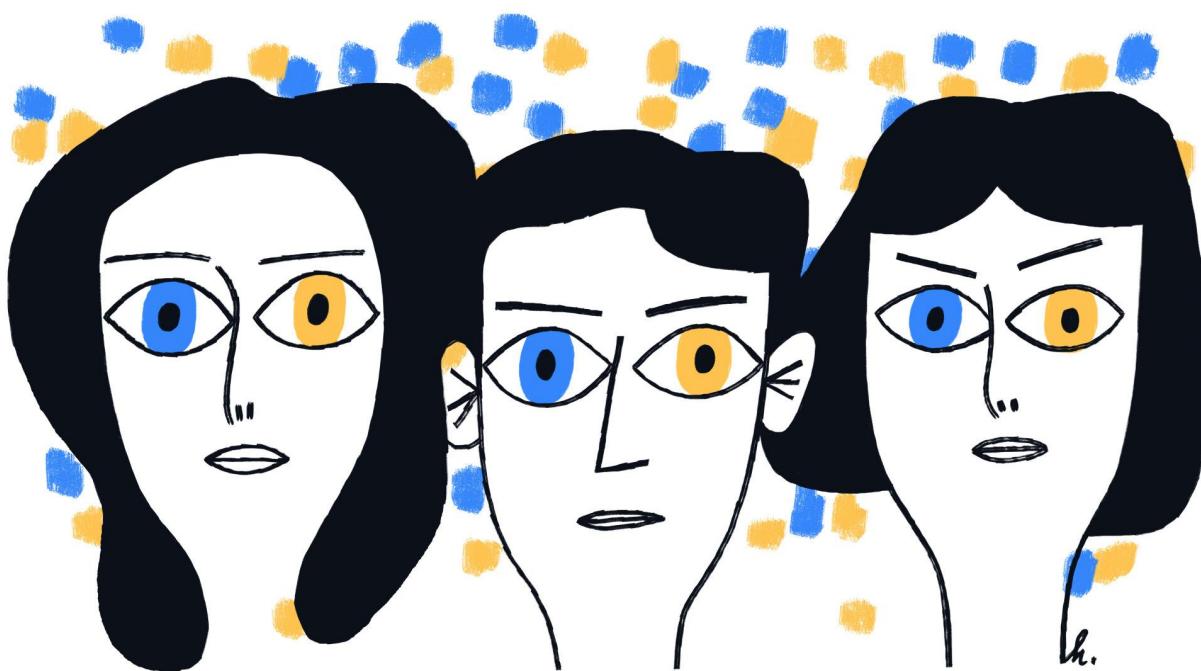
Wybór tekstów i redakcja: *Krystian Furga*
 Kludia Kołodziejczyk

Skład i projekt okładki: *Kludia Kołodziejczyk*

Grafika na okładce: *Marcin Salwin*

Spis treści:

04	<i>Gościni numeru – Agnieszka Budnik</i>
05	Kajetan Czerwiński
08	Zuzanna Bober
12	Karolina Broda
15	Józefina Arodaz
16	Aleksandra Paszko
18	Katarzyna Orzeszek
21	Bartosz Danisiewicz
24	Kuba Schuwald
27	Krzysztof Kwintkiewicz
30	Jagoda Marcinkowska
32	Jowita Mazurkiewicz



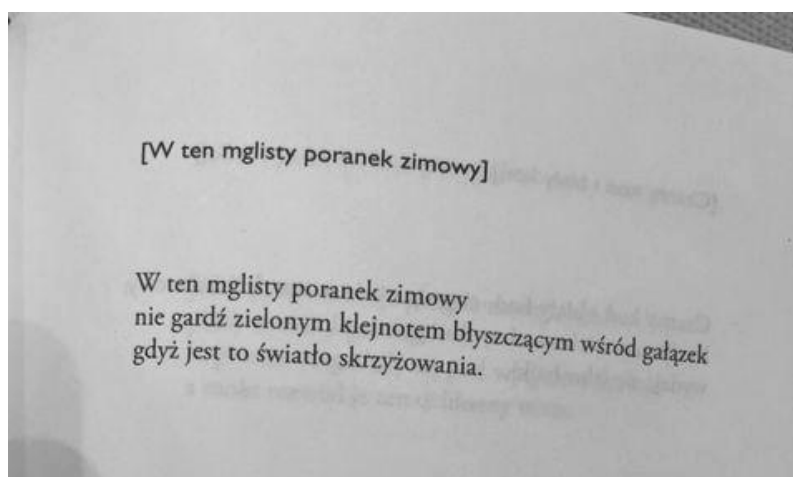
WE STAND
WITH
UKRAINE

Ilustracja: Gosia Herba

Gościni numeru – Agnieszka Budnik

Krótkie dni, dłużące się noce i przeszywające zimno. Kontury rozmywają się przez gęste powietrze, ciszę przerwie czasem szczekanie psa. Jest coś osobliwego w tych niby-dniach i wiecznych wieczorach: przemykamy ulicą, przygarbieni, opatuleni, ze wzrokiem blisko ziemi, bo wybitny piruet na lodzie to nie zabawa dla amatorów.

W tym przygarbieniu wracamy do domów. Kultura proponuje nam wiele obrazów, które mają wyciągnąć nas z jednostajnego rytmu zimy, kiedy cała energia odpłynęła gdzieś w głąb ziemi. Janina Duszejko z powieści *Tokarczuk* stawia horoskopy i pod osłoną nocy poluje na zło. Tove Ditlevsen przemyka ulicami Kopenhagi i snuje swoją opowieść o dorastaniu. Josif Brodski niemal co zimę odwiedza Wenecję, by w końcu napisać jeden z najpiękniejszych esejów o mglistym i mozaikowym mieście. Charles Reznikoff zimą intensywniej przygląda się detalom¹:



Zima jest uważnością, czasem na przyglądanie się: momentem przerwy od gwaru wiosny i intensywności lata. Autorki i Autorzy zimowej *Składki*, a ja razem z nimi, zapraszam do ćwiczenia uwagi: mało co bywa w tym zadaniu tak pomocne, jak wiersz i proza.

Agnieszka Budnik (Raport z literatury)

¹ Charles Reznikoff, *Co robisz na naszej ulicy*, wybór, przekład i opracowanie Piotr Sommer, WBPiCAK, Poznań 2019.

pociąg wjechał na stację

Kajetan Czerwiński

i

pociąg wjechał na stację powoli bez zgrzytu
aerooptymalnie statecznie skutecznie
jak następny wers

tory nie jęknęły ani wtedy ani później
tory nie jęknęły jak zgnieciona mysz

w miarowym przyspieszeniu znaleźć
niewiele jeszcze mniej za szybko
jeszcze mniej w

ii

tak tak tak
ustępuje pod naciskiem
całe kurtkopotne między
(dwa szpitale jak od A do B)

nie nie nie
bezdolny za mną mówi że
chuj z tym PKP (potem
gratuluje mi świetnego wiersza)

a Tobie sekundo? dokąd
się tak śpieszy?

nie ma gdzie
teleportacja z tankowaniem albo i bez
teleportacja

więc zdrzemnij się

Kajetan Czerwiński (ur. 2001) — student filologii polskiej i filozofii w ramach MISH UW, poeta. Zainteresowany uczuciami ludzi współczesnych. Publikował w „Kontencie”, „Stronie Czynnej” i „Tlenie Literackim”, pojawił się także na łamach „Krytyki Politycznej” oraz magazynu „Niewinni Czarodzieje”. Można go znaleźć na Instagramie na koncie @kajetanczerwinski.



Grafika: Agnieszka Cioch

Tlen

Zuzanna Bober

I Okręty

Wielka procesja dni! Mija dzień za dniem, chyba nawet już przestałam zauważać, że coś się kończy, a coś się zaczyna. Dni topnieją tak cicho... Wieczorem deszcz bębnił w szyby. Dy, dy, dy, dy, dy, dy... Potem zasnąłeś niepostrzeżenie, nie zdążyłeś nawet zgasić światła. Wpadasz w sen, przekraczasz tę śmieszną granicę miałkiej jawy i bezpłodnych majaków. Chyba widziałeś tam jakąś obcą twarz, może był tam jakiś las? Zresztą nie pamiętasz już. Sen ucieka, przecieka jak woda przez sito. Rano niebo było szare i pachniało popiołem. Chwilę musiałeś się zastanowić, czy to właśnie poranek, czy trwa ciągle długi wieczór? Gubimy się, mylimy dzień z nocą. Taka właśnie jest ta procesja dni październikowych, procesja dni listopadowych, procesja dni grudniowych... Ten wielki korowód dni jałowych.

Gdy idziesz jak co dzień, idziesz mechanicznie, chyba nie wiesz już sam, że idziesz. Żyjemy jak lunatycy, idziesz, idziesz, idziesz... Deszcz bębni dy, dy, dy, dy, dy, dy, dy, dy, dy, dy... Więc tak, tak, tak, zawsze tak, tracę zdolność zaprzeczania. O czym to ja? Deszcz, deszcz, dy, dy, dy, dy, dy... Idziesz, a koło drogi płoną wciąż światła latarni, żebyśmy na dobre już nie mogli odróżniać dni od nocy, ha, ha! Deszcz, dy, dy, dy, dy, dy... Mokre liście przylepiają mi się to twarzy. Są tak obrzydliwe, tak bardzo, bardzo, jak gnijące, galaretowate ciała prastarych zwierząt, wydartych z najgłębszych jaskiń, najgłębszych ciemności. Tak bardzo obrzydliwe, tak bardzo. Ha! Ha! Dy, dy, dy, dy, dy, dy, dy... Więc idziesz jeszcze? Tak idziesz, pełzniemy przecież jak lunatycy. Idziesz, a światła latarni, tak, płoną światła latarni, a ich wielkie ciepłe oczy są trochę upiorne, a trochę tkliwe... Tkliwe jak jasne porty widoczne z oddali. Jasne porty widoczne z oddali...

Ach! Nasze okręty mkną po spokojnym morzu. Fale skamieniały w wielki pancerz śpiącego rycerza. Niemożliwe chyba, żeby myśleć, że cokolwiek nam zagraża. Maszty naszych okrętów sięgają niebios, na których obłoki są białe jak gdyby olbrzymi rozlali mleko. Odbicia tego wielkiego błękitu osiadają na naszych wargach, zlizujemy je i grzejemy się, rozciągnięci na słońcu jak tłuste koty. Czy cokolwiek złego mogłoby nam się przytrafić? Czasem słyszymy, że gdzieś daleko, daleko, poza naszym horyzontem ktoś zatonął. Wystrzelił flary, krzyczał, wił się i poszedł samotnie na dno. Ach, niech kości nieszczęśliwych trawi słona woda! Tonie zawsze ktoś z zewnątrz, ktoś poza nami. My zlizujemy odbicia wielkiego błękitu. Słońce, wiatr, powietrze pieścą nasze włosy. I cóż z tego, że ten czy tamten utonął? My nie toniemy nigdy. Nam sprzyjają bogowie. Cudowne dzieci szczęścia, stoimy w tym słońcu, w tym słońcu... W tym słońcu jesteśmy tak przepyszni, jak gdyby oblepieni miodem. Słońce, wiatr, słońce, wiatr, powietrze, słońce, wiatr, powietrze, woda, słońce, wiatr, powietrze, woda, ogień, słońce, wiatr, powietrze, woda, ogień, ziemia... Kochamy się z wzajemnością w każdym z żywiołów. Jesteśmy

narzeczni wielkim niebom, na których olbrzymi rozlewają mleko. Myśl, że coś nam zagraża, taka myśl jest doprawdy jedynie śmieszna!

Więc trwamy zawieszeni pomiędzy nieistniejącym niebezpieczeństwem, a względnym dostatkiem. Nie mamy mało, ale nie mamy też za wiele. Rozchylamy nasze gardła szerzej i szerzej... Obrastamy w tłuszcz. Nie prowadzimy żadnych wojen, ciszy nie mącą wystrzały dział artyleryjskich, zapach stojącego powietrza nie miesza się z wonią krwi i prochu... Nie prowadzimy więc wojen, nie budujemy i nie siejemy, bo i po co? Wciąż dryfujemy po spokojnych wodach, mijamy brzegi, wyspy i kontynenty... Istniejemy samotnie. Kpijmy sobie ze świata! Ha ha! Jesteśmy tacy pyszni w tym słońcu! Tacy pyszni, niby umazani w miodzie, aż sami chcielibyśmy przyklęknąć i całować zachłannie własne dłonie. Nie, nie, to nie szaleństwo. Jesteśmy zbyt miały i przezroczyści, żeby oszaleć. Czasem tylko jakaś myśl utyka nam w gardle i wisi niewypowiedziana. Uwiera nam niczym ość... Ale to tylko przez chwilę, tylko przez chwilę i zagrzebujemy się znów w wielkiej próchnicy pustych dni i nocy.

Lecz zdarza się też, że gdy tak dryfujemy, niespodziewanie dzieje się coś, co wytrąca nas z naszych dostojnych, tłustych cielsk. Gubimy nawet buty i stoimy zupełnie nadzy. Zdarzenie, które jest syczącą iskrą wobec wielkiej próchnicy dni i nocy, przychodzi samo. Po prostu stało się; płonie dumny maszt naszego okrętu, a pokład pęka nam pod bosymi stopami. Wpłynęliśmy na nieznane wody, tak bardzo chcielibyśmy się czegoś uchwycić, uchwycić czegoś tak mocno, że zostaną nam czerwone ślady na zgięciach dłoni, uchwycić czegoś... Ale już nie ma czego. Wypłynęliśmy na nieznane wody... Tam, gdzie kiedyś nieznani kartografowie na mapach czerwonym tuszem kładli monstra, bestie, potwory...

Ślizgamy się więc po nabrzmiałym cielsku węża morskiego, myśląc, że zaraz zmieli nas w swych ogromnych szczękach, a proch z nas wypłuje na cztery wiatry. I wtedy wiemy już, że żyjemy. Jesteśmy głodni. Nasz głód będzie nienasycony, będzie wieczny. Usadowiliśmy się w kręgach wokół ognisk i pozwalamy ceniom tańczyć po naszych twarzach. Ogień jest huczny, jest przeszłością dawnych karnawałów. Krew na naszych rękach jest dużo słodsza niż miód, bo zawiera w sobie duszę, a właściwie jest nią całą, jest duszą rozcieńczoną i widoczną w czerwieni. Przykładamy usta i zlizujemy ją łapczywie. Świat jest pełen dusz, mówili dawni greccy. A te cienie drzew za nami są prawdziwsze od naszych rozpadłych okrętów. Pozostaje nam już tylko krzyczeć, że:

chcemy życia
cieplej krwi
i prawdziwych niebezpieczeństw

II Pewność

I wtedy przewracamy się na drugi bok. Nie budzimy się, nadal śnimy niespokojne sny ludzi spokojnych. Coś sprawia, że parę mięśni naszych policzków drga. Ach, nasze twarze! Szkaradne, spięte maski, terakotowe pancerze skór, brudna (bo cielesna!) cielesność oddzielająca nas od czystości wymiaru snu...

odpływamy

w nieznany kraj

dziki kraj

zimne wody

a my jesteśmy ciepli

pękają jak zapalki maszty naszych okrętów

– A żeby wam ziemie lekką była! – mówi i rzuca nam w twarz garście czerni. Zasłaniamy oczy, oblizujemy wargi. Gorzkie i słodkawe. Utyka nam pomiędzy zębami ta konsystencja wieczności. Gleba, glina, materia wiecznego powrotu – prochem jesteśmy i w proch się obrócimy.

Wciąż ciska w nas pełne garście. Kto? Kto w nas ciska? Rysy twarzy są niewyraźne, jakby wyciosane twardo dłutem w kamieniu i wypłukane przez deszcze setek lat. Co więcej tutaj (nie wiemy dokładnie, gdzie to „tutaj” się znajduje) wszelkie kontury – chyba drzew, chyba ścian, chyba ludzi, chyba skał... – rozmywają się jak dym. Czujemy zapach ogniska. Ognia i palonych ciał. Czujemy też zapach kwiatów bez imienia. Kawy. Piezonego ciasta. Wszystko tu jest płynne i zmienne.

Możemy oderwać sobie palec od stopy, połknąć go i wyciągnąć z gardła. A potem odstawić go na miejsce. Czujemy ból. Ból – oto jest nasza prawda. Ale cóż z tego?

Może nawet chcemy go czuć. Odrywamy i połykamy kolejne dwa palce. Krew. Prawie się poślizgnęliśmy. Kolejne palce... Nasz Boże. Nasz słodki Boże, któryś naprawdę potrafił cierpieć, któryś naprawdę potrafił umrzeć. Nasz słodki Boże, cóż to za ból! Połykamy własne palce i rozrywam sobie gardła. Rozrywamy. Odrywamy. Odkładamy na swoje miejsce. Nasz słodki Boże... Ta krew i to dobrowolne cierpienie – nasze i Twoje. Twoje jest obietnicą wieczności. A nasze?

To tak jak gdybyśmy przesuwali ręką po ścianie i szukali włącznika, aby zapalić światło. Nagle ciemność wypływa pokój – białe ściany milczą, a bluza leży na podłodze, papier na biurku i wystygła herbata w garnuszku. Nikt nie zniszczył naszych światów. Szukamy więc w wielkiej rozciągłości naszego bólu włącznika, który uświadomi nas, że istniejemy.

Zaistnieliśmy.

Cierpimy, więc jesteśmy. Jesteśmy, więc cierpimy. Proste jak drut.

Świadomość istnienia przepełnia każdą komórkę naszych ciał, rozchodzi się falą po wielkich jak oceany skórach. Cierpieniem przeciwstawiamy się śmierci.

– A żeby ziemia wam lekką była! – mówi i rzuca nam w twarz garść czerni. Kto? Neolityczny bożek-lęk. Nagle uświadamiamy sobie: ziemia nam lekką nie będzie. Nigdy. Nie spoczniemy i nie zapomnimy. Nie porzucimy myśli o tym i o tych, których ciągle porzucaliśmy. Upływ czasu to jedno wielkie porzucanie, wciąż porzucamy i nas wciąż porzucają. Jesteśmy jednocześnie porzucanymi i porzucającymi i na tym chyba balansuje równowaga chaosu świata.

Teraz widzimy od góry nasze ciała rozciągnięte na łące pełnej majów, czerwców i sierpniów. Świeci słońce i świecą gwiazdy, kwitną kwiaty i płoną wysokie trawy.

Być jednocześnie porzucanym i porzucającym.

Zuzanna Bober - jeśli nie włóczy się po lasach i górach, to studiuje w Krakowie. Można ją znaleźć tu na Instagramie na koncie @discopertis.

„Obojętność jest gorsza niż nienawiść”

Karolina Broda

Moim najwcześniejszym wspomnieniem jest postać matki. Kuca na podłodze, z wyciągniętymi ramionami, a ja do niej idę².

Jednak ilekroć Łucja próbowała je sobie przywołać, nie potrafiła go nigdy dokładnie odtworzyć. Wszelka wizualizacja jest bowiem niewrażliwa na prawdziwe doświadczenie życia i nawet jeśli w naszych myślach staje się diabelsko precyzyjna, szalenie dopracowana, projektowana z pietyzmem i pielęgnowaną latami pieczołowitością, nie ma nawet prawa konkurować z realnym przeżyciem. A jej wspomnienie matki, tak jak wspomnienia wszystkich ludzi na tym świecie, było tylko i jedynie marnym substytutem, ledwie namiastką tego, co wydarzyło się naprawdę w najwcześniejszych stadiach rozwoju dziewczyny. Było i jest niczym zakładka do książki, którą człowiek umieszcza w pośpiechu pomiędzy przypadkowymi stronami, a następnie nie potrafi doprowadzić chronologii fikcyjnego świata do ładu. Było też kartonowym domkiem, w którym skrywało się ego dorastającej w przeświadczeniu braku zaufania i wiecznej niepewności młodej kobiety. Wież z kości słoniowej, która uginając się pod ciężarem nieubłaganie upływającego czasu, powoli pękała, wyjawiając kolejne, być może prawdziwsze karty przetargowe tej historii.

Wspomnienie matki było więc dygocącym obrazem, który ledwie tłąc się w pamięci, karmiony urywkami dzieciństwa, zamgloną wizją przeszłych, niezbyt bliskich powiązań z rodzicielką, z każdym dniem stawał się coraz mniej wyraźny. Istniało więc poważne podejrzenie, że kiedyś zniknie całkowicie.

W wieku dwudziestu jeden lat cały dobytek pamięciowy Łucji zamykał się właśnie w tej jednej sentencji: „Moim najwcześniejszym wspomnieniem jest postać matki”. „Kuca na podłodze, z wyciągniętymi ramionami, a ja do niej idę” było jedynie dopowiedzeniem, stanowiącym ubogacający element rozwoju zdaniowego z najbardziej wypartych przez pamięć okresów jej obecnego życia. A czym była ta dziejąca się na naszych oczach aktualność?

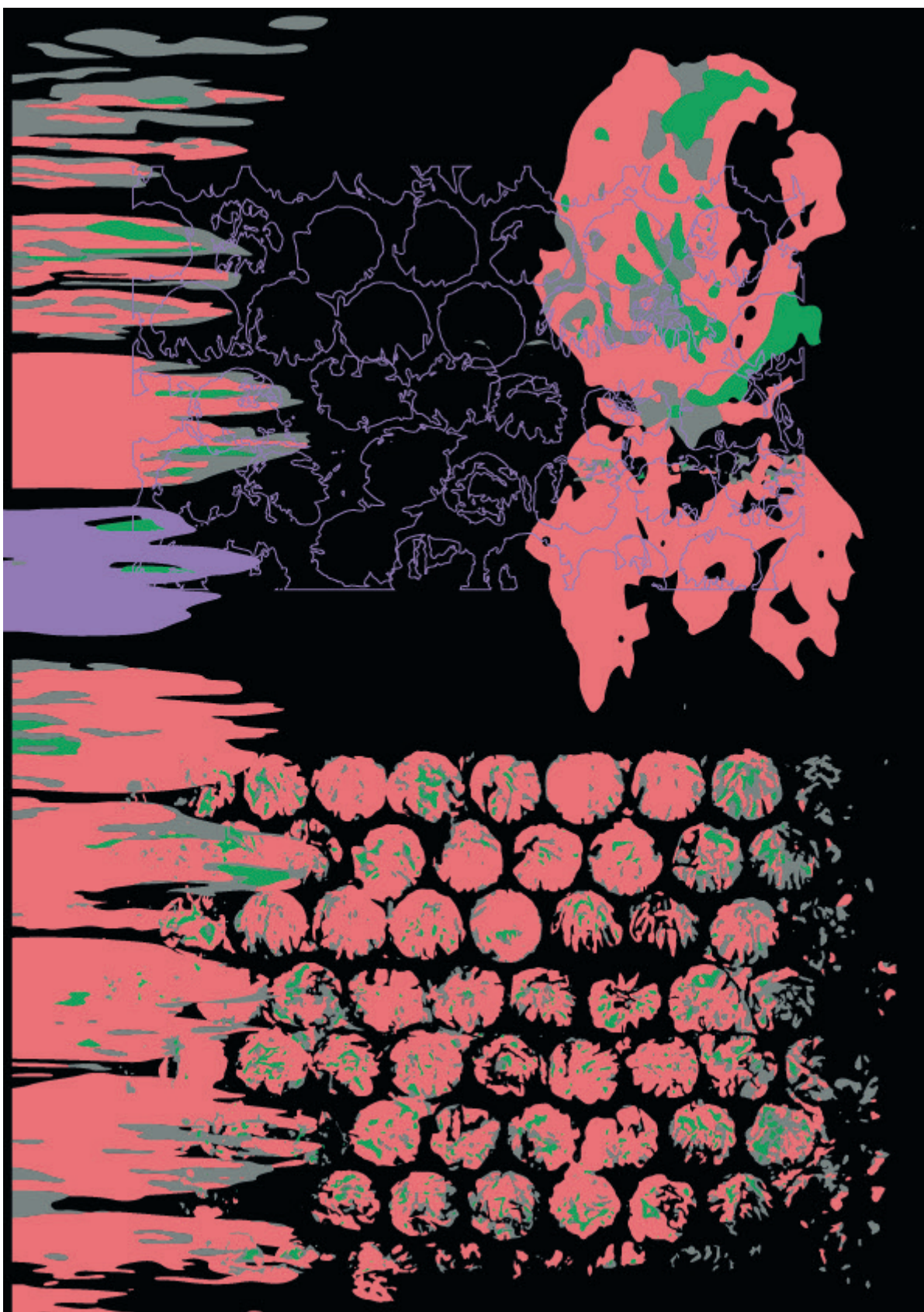
Łucja, lat 21, niezamężna, bezdzietna, pozbawiona miłości i wolna od nienawiści. Przy pomocy metodyki radykalnej intensywności szuka dalszego rozwoju zdarzeń swojego życia. Człowiek bez treści, bez właściwości, wewnętrzna pustynia trwania. Z ruchomym adresem i ruchomymi myślami.

Z dniem 22 października 1998 roku postanawia w telegraficznym skrócie przypomnieć sobie ostatnie, minione tygodnie. Jest czwartek, a to oznacza, że tak jak od dobrego miesiąca w każdy czwartek punktualnie o godzinie 8 rano i 30 minut sąsiedzi mieszkający nad niewielką wynajmowaną przez nią, ale opłacaną przez zamożnych rodziców kawalerką, rozpoczynają kłótnie. Te cykliczne wybuchy ich

² Siri Hustvedt, *Oczarowanie Lily Dahl*, Warszawa 2000, s. 258.

wzajemnej agresji, ustanowione poprzez regularność dnia i godziny (tak, żeby człowiek mógł się, chociaż nerwowo, na nie przygotować), jak można by przypuszczać miały bardzo racjonalną przyczynę. Państwo Dobrzańscy mieszkali w tej kamienicy od niedawna, a bezpośrednią pobudką do ich przeprowadzki była nagła i niezbyt pokrzepiająca informacja o śmierci ich jedyne go syna – Tadeusza, nazwanego tym majestatycznym imieniem w imię bezgranicznego uwielbienia rodziców-literatów do Tadeusza Konwického. W imię spokoju, którego potencjalnym źródłem w ich mniemaniu miało stać się dwupokojowe mieszkanie na Nowej Hucie w Krakowie, opuścili swoją okazałą posiadłość na obrzeżach Poznania i w okamgnieniu zadowolili się na 4 piętrze przy alei Lenina. Czwartkowe kłótnie były objawem tego, że pan Dobrzański – Władysław Dobrzański – w każdy czwartek na godzinę 9 był umówiony z rudowłosą, prześliczną studentką filozofii. Anna, bo tak pospolite imię nosiła jego żona, podejrzewała, co się święci, ale z braku odwagi, nigdy nie zebrała na tyle sił, by przedstawić mężowi swoje podejrzenia w sposób otwarty i bezkompromisowy, stawiając ich związek z długoletnim stażem na ostrzu noża. Nóż ostrzyła od lat, czekała jednak na doskonały moment, kiedy brzytwa będzie tak ostra, żeby przeciąć nie tylko błonę ich relacji, ale doprowadzić do eksplozji jej wnętrza. Jej spekulacje musiały więc przyjmować postać wewnętrznej izolacji, w której kolekcjonowane po każde, czwartkowej kłótni pęczniały, a wraz ze zwiększającą się objętością, proporcjonalnie rósł ich nacisk na duszę Anny. Te pół godziny oddzielające moment, w którym Władysław parzył sobie podwójne espresso od chwili, w której wsadzi swój członek w pochwę kobiety o 30 lat młodszej od niej, były dla niej rodzajem cotygodniowej rutyny. Trzydziestominutowe spotkanie z małżonkiem w kuchni nie kończyło się jednak wspólną kontemplacją poranka, o nie, co to, to nie. Anna, z całą swoją pewnością w niepewności gotowa była wrzeszczeć na wykładowcę akademickiego, bo tym właśnie trudnił się na co dzień jej partner, z byle powodu. A to o to, że nie odłożył filiżanki do zlewu, a to, że nie zakręcił pasty do zębów lub krzywo zaparkował ich zastępczego malucha przed blokiem. Najgłębiej jak się da, w obliczu swoich przekonań, w lustrze swojej kobiecej intuicji, wiedziała wszystko. Bez wahania mogłaby mu wszystko wyjawiać. Mogłaby wykrzyzczeć mu w twarz imię kochanki albo wielkimi literami wypisać je któregoś dnia na dużej szklanej gablocie, zdobiącej ich przedpokój: ŁUCJA!

Karolina Broda (19) – studentka filozofii w ramach kolegium Międzywydziałowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim. Publikowała w pierwszym numerze „Składki”, a oprócz tego także w: „Filozofuj!”, „Culture.pl” czy „Szajn”. Przez ponad dwa lata redaktorka działu kultury w studenckim Radiu Egida, pisała też na rzecz mediów studenckich (magazyn „Suplement”). Nieustannie uzależniona od kupowania książek. Można ją znaleźć na Instagramie na koncie @karolina_broda.



Grafika: Iga Malinowska

wszystko, co potrzebne do szycia

Józefina Arodaz

wszystko, co potrzebne do szycia mamy w przedsionkach
bije stamtąd takie ciepło, źródło odnawialnej czułości
do krojów, wzorów i materiału

wszystko, co potrzebne do szycia
to są jakieś tam żyłki i podjęty ruch dłoni
splecenia na krzyż lub też niezdarne supelki

wszystko, co najważniejsze w szyciu
to, na przykład, żeby dziura zniknęła
przyszywają naprędce cokolwiek
na łatę się nada papierek nieodkazony
trochę zarazków zapodanych raz po raz
od ciała szyjącego do szytego

wszystko, co najważniejsze w szyciu
to chyba nie tylko pragmatyka zbliznienia
przecież to ma być ładne, ma przykuć oko
jakiś haft, można wydziergać sobie hasło przewodnie
i chodzić tak z deklaracją na piersi

wszystko, co istotne w produkcji szycia
to żeby nie kłuło za bardzo, nie pruć za łatwo
to trzymanie się porządne guzików i zamków
i rozpinanie ich nienachalne, w porę
a gdy się zrobi za gorąco
żeby mieć z tyłu do zawieszenia
jednak jakieś oparcie

Józefina Arodaz zajmuje się profesjonalnym gloryfikowaniem chleba, owsianek i lodów różanych, uśmiechaniem do ładnych kamienic i drewnianych domów oraz szlifowaniem zdolności eskapistycznych. Znaleźć ją można na Instagramie na koncie @czyteliusz.

Alina

Aleksandra Paszko

rozmawiałam dzisiaj w pracy
z moją starszą koleżanką
o śmierci
powiedziałam jej o udarze mojego taty
ona mi opowiedziała
jak była przez pół roku po śmierci swojego ojca
miał guza mózgu
nieoperacyjnego

pokazuje mi zdjęcia na telefonie swoim
pokazuje ogród
bardzo ładny
oczko wodne
mama na wózku jak jeszcze żyła
zdjęcia bukietów
wesela, pogrzeby i rocznice
przybrany wnuczek
pieski w ogrodzie się całują

jakaś melancholia
już trochę się nudzę
ale oglądam dalej
uśmiecham się
i wsiąkają we mnie rzeczy
których nie umiem nazwać
wydaje się to bardzo ludzkie

Galaretka w szklankach

Aleksandra Paszko

siedziałam przy stole
jadłam drugie śniadanie
mama opowiadała
jak babcię po ręce głaskała
gdy tamta umierała
u cioci Joli w domu
w łóżku medycznym
wspominała jak na święta
staliśmy wokół łóżka
i śpiewaliśmy kolędy
tata popijając
czarną herbatę granulowaną
wyciera oczy pod okularami
wspomina jak jego mama
sama w szpitalu umierała
ważne by w domu
by wśród bliskich
i że to niestraszne

Aleksandra Paszko a.k.a. paszka; pisze wiersze, robi zdjęcia i próbuje się odnaleźć w życiu. Białostoczanka, która studiuje, pracuje i żyje w Warszawie. Publikuje swoje zdjęcia na Instagramie na koncie @pazsko.takes.

Ballada o zimie stulecia

Katarzyna Orzeszek

Warszawa. 31 grudnia. Zmrok trzeszczy, noc czai się na nas z nożem. Nas? Zgłupiałem. Na mnie. Mnie. Jestem sam.

Niebo pęka i widzę twarz diabła. Przystojny... Pali się, pali. Łuny tną chmury i leci ciurkiem krew. Przy samej ranie błyszczący jak lany воск, a im dalej w nieboskłon, tym bardziej blaknie i rozmazuje się jak tusz na zapłakanych oczach. Kap, kap, kap... Ja dziś umrę.

Mróz gryzie. Nie ma kagańca. „Można panienkę do tańca?”. Ach, panienki nie ma, nie ma. Co by panienka na mrozie miała robić. Nosek można tak łatwo odmrozić... Panience by to mogło zaszkodzić... Boże... Czemu tutaj jest tak zimno? Łzy zamarzają w oczach i kłują pod powiekami. Idę kierowany tylko zmierzchem i jarzącym się, radioaktywnym neonem baru mlecznego. „Miłość ci wszystko wybaczy...”. Muzyka z jakiegoś okna, z płyt czarnych jak twoje rzęsy. Coś strzeliło. Petardy? Okna? Czy to już coś we mnie?

Do środka wchodzę już lekko skołowany. A kiedy ty, worze na kilka nazbyt cienkich nerwów, nie jesteś skołowany? Skołowany czy pijany? Zakochany.

Żal. Żal, żal, żal... Straszny żal. Żal za grzechy, za życie, za śmierć, za ciebie, za mnie, za nas, ha! Nas nie ma, to jak za nas? Za was, kochana... Za was. Kryształki w cukiernicy życia, bąbelki w szampanie śmierci. A mnie zjedzą szczury, bo leżę w stercie waszych śmieci. Papierek po was, czekoladki w bombonierce świata. Kochajcie się! Wszyscy się kochajcie! Plujcie sobie w twarz, zarażajcie się głębią waszych źrenic i błękitem waszych żył. A ty, babo tłusta, znudzona, daj mi wódkę. Ja będę dzisiaj przyczyną i ja będę skutkiem. Albo nie, nie dawaj. Jak upijać się dzisiaj, to tylko smutkiem!

Zaraz zamykają. Do końca posiedzę, dłonie ogrzeję. Zamarzły na kość. Ciepło boli. Wykręca mnie. Najchętniej wziąłbym nóż i sobie te dłonie odciął. Pali. Pali jakbym rękę do ognia żywego wsadził. Ale czuję! Czuję! Człowiekiem się okazuję, wbrew temu co mnie spotyka. Co ja ci takiego zrobiłem? No? Nie, nie. Nie jestem gówniarzem, żeby się gniewać na ciebie. Ale widzisz, człowiekiem jestem – na zewnątrz zamarzam, w środku płonę. Albo i na odwrót. Wszystko mi już jedno.

Zamykamy. No to zamykajcie. Wstałem leciutko z wysokiego stołka. Na drugim końcu sali szmer. Człowiek? W tym dniu, o tej porze – tutaj? „Dobranoc, szczęśliwego nowego roku!” – mówi człowiek głosem umarłego, baba mu odpowiada. Ja wyczołgałem się stamtąd bez słowa. Papierosa nie odpalę, bo za zimno, to tylko sobie wzdycham. Szok termiczny i dalej w miasto.

- Dobry wieczór... – Słyszę za sobą znów ten upiorny głos. Milczę, ale nie ruszam się z miejsca. Widzisz, kolejny znak, że jednak istotą żywą jestem. Ktoś mnie jednak czasem widzi.
- Ja... Ja chyba pana skądś znam? – zaświaty nawołują.
- To zwidy, mówię panu.
- Nie. Chyba nie? Ciemno jest, i mróz tnie, to ciężko mi wzrok skupić... Pan... Pan się na Centralnym w Wigilię rzucał pod pociąg.
- Nie rzucałem, bo jakbym się rzucił, to bym z panem nie rozmawiał – tłumaczę.
- Pana powstrzymali...
- Nie musi mi pan przypominać. – Chciałem odejść czym prędzej, ale spojrzałem na tego gościa z zaświatów. Bezdomny. On przecież dzisiaj zamarznie. Sięgnąłem skostniałą dłonią do kieszeni z portfelem, żeby dać mu coś pieniędzy, ale szybko zrozumiałem, że one mu nie pomogą. Nie kupi sobie przecież ciepła. Zabrałbym go do siebie, ale gdzie jestem ja?
- Jak pan sobie dzisiaj poradzi? – zapytałem już bardziej uprzejmie. On przecież serca mi nie złamał.
- Niech się pan nie martwi – odchrząknął.
- Głupio mi się zrobiło i jakoś wstyd. Może wcale bezdomny nie jest. Głupi jestem i gaduła.
- A z panem co? – zapytał, jakby naprawdę się o mnie martwił. Też może pomyślał, że włóczęga jakiś jestem.
- Może dzisiaj się uda. – Uśmiechnąłem się, na tyle, na ile odmrożona twarz mi pozwala.
- Niech pan się nie zabija... Nie warto.
- Przepraszam bardzo, ale ja nie proszę o rady.
- Pan potrzebuje pomocy. Czemu pan chce to zrobić. Już raz pana odratowali, a panu to wszystko jedno?
- No... Wszystko jedno. – Zacząłem się denerwować, ale nie na tego człowieka. Na tych cholernych milicjantów, co mnie odciągnęli wtedy.
- Dziwne to czasy... Jak pan nie chce rozmawiać, to ja już pójdę... – wysapał.
- A we mnie znowu lampka. Gdzie on pójdzie? On zamarznie.
- Chce pan się przejść? – zapytałem, łamiąc głos o kryształę lodu wiszącą w powietrzu. Ja sam, on sam. Wszystko jedno... Zgodził się.
- Powie mi pan czemu... No wie pan... Tak w Wigilię... – dopytywał. A ja się zламаłem:
- Bo już człowiekiem nie jestem. To i po co żyć?
- Jak pan nie człowiek, jak pan tu stoi, z krwi i kości. No jak nic – kształt ludzki i głos
- Ale serca nie ma. Wyskoczyło z okna.
- Kobieta?
- Co on taki ciekawski?
- Nie.
- No to co?
- Czemu pyta, czemu, czemu?

– No to nikt. Nie ma nikogo. Nikogo, żeby kochać. Nikogo, żeby nienawidzić. Manowce. I ja jeden. Jeden pośrodku wielkiej, zimnej galaktyki.

– Wierzy pan w miłość? – zapytał tak cicho, że może mi się wydawało.

– W nic nie wierzę.

W jednej sekundzie niebo rozstrzeliło się feerią barw. Północ, pomyślałem. Huk, okropny huk. Jak karabiny. Jak bombowce. Ale obok mnie już nikogo nie ma. Ciemność co chwilę gasnąca w czerwonym blasku. Patrząc pod nogi. Na śniegu leży zamarznięta jaskółka.



Zdjęcie: Aleksandra Paszko

Katarzyna Orzeszek – pochodzi z małej mazowieckiej wsi, pieszczotliwie nazywanej "Końcem Świata". Debiutowała na łamach pierwszego numeru "Składki". Kocha poezję i wschody słońca. Do tworzenia inspirują ją ulotne emocje i gra światła.

alert RCB

Bartosz Danisiewicz

idziesz przez kontynenty
krokiem kontrowersyjnym
wzbudzasz napięcia neuronowe
dla tych co przeżyli
mrozące zimy
ze zdenerwowania
dla tych co przeżyli
skwarne upały
ze strachu

na podjęcie dyskusji z
wpływowymi znajomymi
ubierasz się w określenia iluzoryczne
bo od dzisiaj w głowie
złamanie traktatu antarktycznego

zaczynasz z siebie wydobywać
substancje cech i wpływów rzadkich
powoli kradzionych do omamiania nas
coraz to nowszym uzależnieniem od światła

rozpuszczasz się
twoi bezradni przyjaciele
terapeuci i diagnostycy
udowadniają nam
że to my
doprowadzamy cię
do twojego płynięcia
do naszej katastrofy

zasada komplementarności

Bartosz Danisiewicz

zauważam w swoim życiu
schemat sytuacji sporadycznej
dobieram sobie bliskich
o stałym fenotypie
któremu wstyd robić
zdjęcia inne niż analogowe
o barwie tęczy
warunkowanej genem recesywnym
- w ten sposób czuję dominację
o wzroście fizycznym
stanowczo przewyższającym przeciętność
- w ten sposób czuję uniżenie
o poglądach na rzeczywistość
stojących w sprzeczności z moimi
- w ten sposób osiągam transcendentálną harmonię

w myśl mojego pokolenia
zastanawiam się czy to
mój skorpion w marsie
czy niedoleczone podium doznań
na wcześniejszej tabula rasa
warunkuje ten schemat

Bartosz Danisiewicz (ur. 2004) – debatant, obserwator, przyjaciel. autor tomiku poezji „nie jestem słońce”. Nagrodzony w X edycji konkursu „O Trzcinę Kortowa” za wiersz „artefakty”. Laureat II miejsca w ogólnopolskim konkursie Fundacji Olgi Tokarczuk na mowę noblowską za tekst pt. „Okna”. Chce zgłębiać nauki kognitywne, ale tak naprawdę jego jedynym celem jest by rozumieć jak największą część świata. W planach ma mieszkanie w nowojorskiej kamienicy i bycie szczęśliwym. Płytę Lorde „Melodrama” odtworzył ponad 400 razy. Klatkami ze swojego życia, poezją i screenami aktualnie słuchanej muzyki dzieli się na swoim Instagramie @bdanisiewicz.



Grafika: Aleksandra Paszko

Ptaki

Kuba Schuwald

Zdarzenia te miały miejsce w styczniu. Był to leniwy czas, kiedy z jednej strony minęła już świąteczna radość, a z drugiej nie nadchodziła jeszcze energia białych zamieci. Żył się wtedy w stagnacji – zmrożony śnieg nie zachowywał nic ze swojej chrupkości, powietrze truł smolisty dym, a zimno, zamiast pobudzać krążenie, wyciągało z organów energię. Wszystkim doskwierała niewygodna – taka nieokreśloność w powietrzu męczy mięśnie i usypia wszystkie siły życiowe.

Męczy ona też ptaki. Są stworzone do życia, do celebrowania wszechświata wdzięcznym szybowaniem, do łączenia śpiewem nieba i ziemi. Jednak nawet im trudno jest wydobyć z siebie własną naturę, gdy opasają je węzły styczniowej nudy i kurzu, powstrzymywane przez niewidzialną siłę przed wzbiciem się wysoko. Ptaki są również stworzone do opowiadania historii – stąd nuda jest dla nich szczególnie drażniąca i otepiająca. Nikt nie widzi tyle, co one – strasznym żalem by było, gdyby nie mogły opowiadać o tym, co zdarzyło im się podpatrzeć.

Miały one w mojej okolicy pewno schronienie – bezpieczny i cichy strych, gdzie niezależnie od pory roku przybywały i wymieniały się historiami. Proceder ten trwał już od dawna i nikt nie zakłócał spokoju tej ptasiej rady. A i tak jedyną osobą, która mogłaby się na to powążyć był właściciel domu, staruszek, o którym jeszcze do niedawna wiedziałem tylko, że ma dom ze strychem i wspaniałą żonę. Ale im akurat z pewnością nie przeszkadzały ptaki na strychu. Nie widziałem ich obojga od dłuższego czasu, jak zresztą wielu innych mieszkańców znanych mi z widzenia – wszyscy zaszyli się w domach w obliczu styczniowej nijakości.

Warto jeszcze dodać, że dom, na strychu którego obradowały ptaki, był bardzo piękny, z szachulcową elewacją, zadbanymi okiennicami, tak rzadko dziś w ogóle obecnymi, z drewnianym dachem i małym, lecz wyśmienicie pielęgnowanym ogrodem. I nawet ten dom ugiął się pod ciężarem styczniowego powietrza – jakby zszarzał i stracił część siebie. Miało się dość tego stycznia.

Dość miały zwłaszcza ptaki. Zebrały się one pewnego dnia na wspomnianym strychu, zmęczone niekończącą się nudą. Ich skrzydła były jakby oklejone smołą, ruszały się ospale i otepiały. Nie wiem, o czym wtedy rozmawiano, same ptaki pewnie już tego nie pamiętają, bo wszystkie błahostki przyćmiły wydarzenia następnych chwil.

Do strychu wleciał wróbel. Natychmiast zwrócił uwagę wszystkich, bo podczas gdy inne stworzenia flegmatycznie podlatywały do otwartych okien, o wróble tym można było wreszcie powiedzieć, że przyfrunął, niosąc ze sobą iskrę energii, prawie już nieobecną wśród ptasiego towarzystwa. Żwawo okrążył pomieszczenie i wylądował na szczycie krzesła. Uzyskawszy uwagę zebranych, zabrał głos:

– Słuchajcie mnie wszyscy, bo zdaje mi się, że coś się dzieje! Właśnie wracałem po niezbyt obfitym obiedzie, gdy zobaczyłem, jak z domu spod naszego strychu wychodzi staruszek. Wszedł do warsztatu i wrócił z drabiną. Żywo mnie to zainteresowało, to przycupnąłem i obserwowałem, czym też takim staruszek się zajmie. A on oparł drabinę o dach, wziął do ręki kij i wdrapał się na samą górę, aż pod dachówki. Pamiętacie wy może te ogromne sople powstałe po ostatniej odwilży, te które tak groźne zwisają od wschodu? No, to staruszek zamachnął się i wszystkie je zrzucił za jednym uderzeniem! A wydał przy tym krzyk, który zmroził mnie bardziej niż ostatnie nocne ziąby, jednocześnie poruszył mną dogłębnie, obudził to, o czym my wszyscy tutaj pozapominaliśmy. Poczułem życie i koniec stycznia! Sople rozbiły się w mak – widziałem cały plac pokryty małutkimi kryształkami. A wtedy, słuchajcie, psy zaczęły czekać, zerwał się wiatr i wzbudził tornado, śnieżynki zaczęły wirować, staruszek zszedł z drabiny z grymasem na twarzy, jakby coś go opętało – już nic więcej nie wiem, bo zaraz po tym się zerwałem i przyleciałem tutaj! I co wy na to? Czas się obudzić i lecieć!

Trudno opisać poruszenie, jakie wzbudziła relacja wróbla. W kilka chwil strych wypełnił się szaleństwem. Zadawano sobie pytania: Co to znaczy? Jakies święto? Skąd ten krzyk? Bardzo szybko amok ten przerodził się w ekscytację. W stanie tym nie kryło się ani krztyny niepokoju, tylko radość – choć nie wiadomo, czym dokładnie spowodowana. Jakby coś zrzuciło z ptaków łańcuchy, oczyściło skrzydła z oleistej mazi i ponownie połączyło duszę z ciałem.

Stworzenia skakały, radośnie ćwierkały, prowadzone najszczerszą ekscytacją. Czuło się świeżość i tchnięcie, poruszające ten zardzewiały mechanizm tajemnic, w którym uczestniczą ptaki, ludzie i wszystko inne, co żyje. Przypomniano sobie w jednej chwili o wszystkim, co nadawało sens.

A wtedy, wśród amoku, przez okno przefrunęła sikorka, toczona orgiastycznym uczuciem, zrobiła salto, a z jej małutkich trzewi słowa zdawały się tryskać:

– Kwiaty! Kwiaty! U staruszka, tam przy oknie, kwiaty! Chryzantemy! Ćwirrrr... ĆWIRRR...

Otworzyły się okna i cały strych wybuchł tumanami ptasich piór. Wszystkie wróble, sikorki, sroki, zimorodki, gile i dzięcioły wyfrunęły nad dach, zataczając koła, wykonując salta, śpiewając co sił:

Ciebie Wiosno wielbimy

Ciebie Wiosno niepojętą

Ciebie, Ciebie, wielbimy.

Pluły zimie w twarz. I srały, srały, bo wobec takiego szczęścia nic nie może ograniczać anielskiej wolności, ekstazy siły i dynamizmu. Przeleciały nad całą okolicą. Minęły ulice, place i ogrody, aż dotarły do kościoła, gdzie zgodnym kluczem wzbily się spiralnie, otaczając dzwonnice. Wtórowały im organy,

które nigdy o tej porze nie grały. Cud gonił cud, każdy ptak był świadkiem coraz to nowszej fantazji świata. Działo to wszystko na ptasią gorączkę jak nawóz.

Tak spontanicznego wybuchu, który trwał ledwie od kilku minut, nie spodziewał się nikt. Coś wbiło klin w styczeń. Upojone radością, ptaki przodowały temu orszakowi dionizyjskiemu, stanowiły jego trzon i podstawę. Wszyscy mieszkańcy widzieli ten spektakl i patrzyli na siebie zakłopotani. Wróbel pomyślał, jak zatwardziałe jest ich serce, jak skażone styczniem, jak głuche na wołania siły, która zbawia i raduje, jak ślepi na iskrę nadziei, przerodzoną w ptasi płomień, wreszcie jak nieczułe na wszechogarniające pobudzenie. Kątem oka zobaczył staruszka idącego w stronę domu. Nie widać było w nim ani śladu krzyku, praźródła tej gorączki. Żal było strasznie, że nawet on utracił sens, zapomniał już o świetności życia... Zapomniał... Król banita...

Staruszek wrócił do domu i usiadł przy biurku. Otworzył pamiętnik i zapisał w nim parę zdań.

Przed południem zrzuciłem sopte. Gdyby komuś przyszło do głowy, żeby mnie odwiedzić, to wolałbym, żeby się nie zabił. Pogrzeb nie trwał długo.

Siedział długą chwilę w ciszy. Spojrzał przez okno. Ptaki już się nie dały. Ich dziwny klucz rozpierzchnął się i został po nim tylko obsrany dach. Trudno powiedzieć, co to miało znaczyć.

Kuba Schuwald – student historii sztuki. Świat jest dla niego pełen sensu, ukrytego lub jawnego. Bardzo lubi pszczoły.

Nie wierzę

Krzysztof Kwintkiewicz

nie wierzę w sens
rozwijania procesów
zwiększania produkcji
ani całego greenwashingu

okej według najnowszego badania
jesteśmy coraz bardziej wierni
markom z sektora retail
tylko jak uwierzyć
że cokolwiek to znaczy

kruche te systemy
nie będą trwać wiecznie
jak jakieś
stworzone ludzką ręką królestwo
niebieskie

aż nie chce się wierzyć
jak jasny bywa blask płomieni
spowijających nasz własny dom

Nowe prozy

Krzysztof Kwintkiewicz

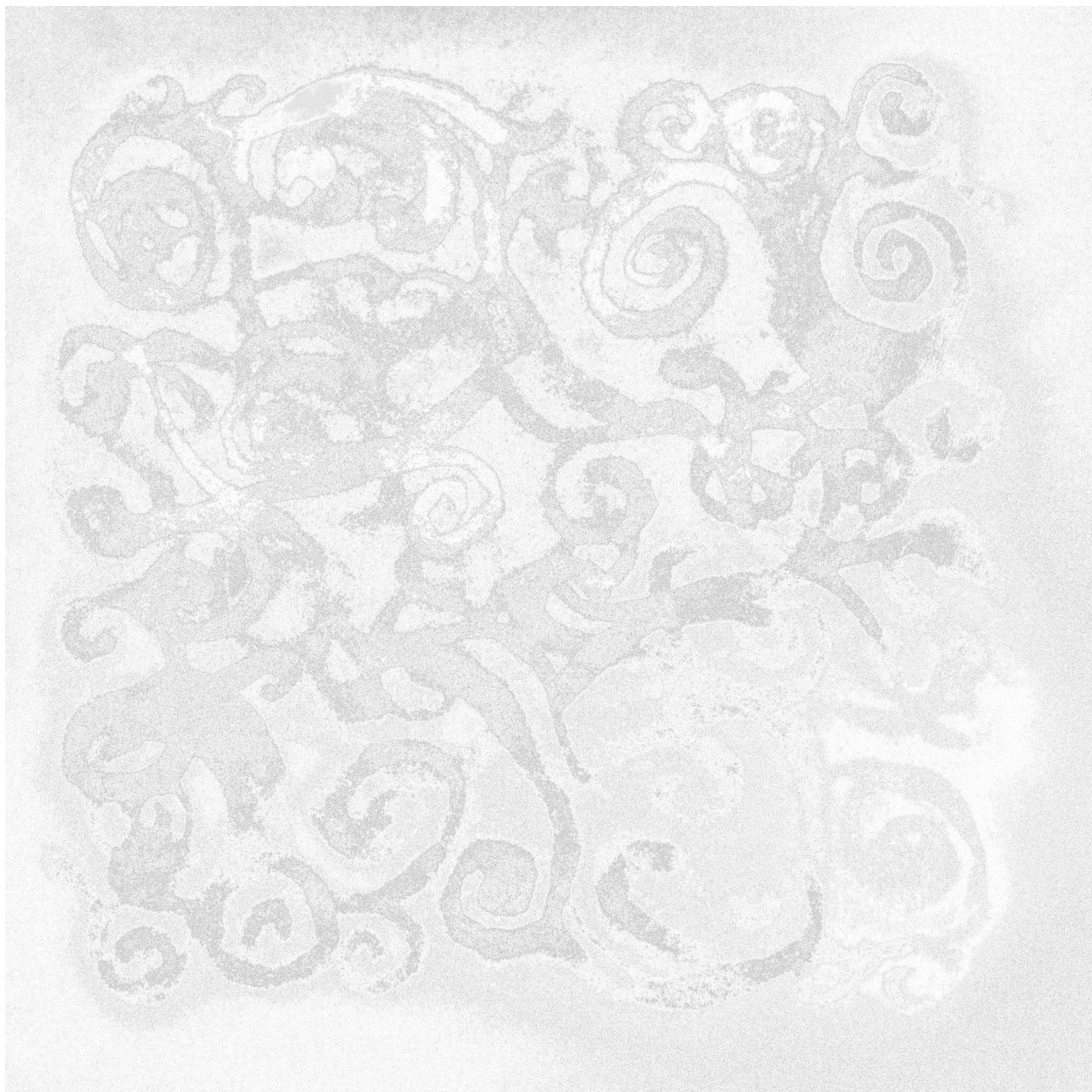
Jakie będą nowe prozy
wobec tak
nowoczesnych losów
odsączone będą kruche
w zagubieniu w pośredniości
połowicznie pewne
nowe prozy będą mówić przedstawiać
należycie nieśmiało z adekwatną uległością
chyląc czoła zbierając brud
będą dalej historiami
ale czego

będą musiały poradzić sobie z napływem natłokiem
zmiennych trendów ciągłych nowości
uboczne odmienne
niby bezdomny opluty przez
analitików z Wall Street

czym będą nowe prozy bez
prawa odnowy
utkane z nicości
oduczone myśli niezdolne
cudownie neutralne zimne jak kosmos

doznamy dzięki nim znowu nicości i nicości
bez wytchnienia
niemalże
bez wyboru

Krzysztof Kwintkiewicz (ur. 1995) – absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Warszawskim, autor prozy i poezji, laureat konkursów poetyckich. Jest miłośnikiem amerykańskiego postmodernizmu i polskiej awangardy, na co dzień pracuje jako specjalista od komunikacji, w wolnym czasie walczy o prawa drzew i krzewów. Mieszka w Warszawie.



Grafika: Julia Kacala

śnieg

Jagoda Marcinkowska

Jestem wspomnieniem.

To, co robię i powinnam robić teraz – jest wspomnieniem. Jeśli będę stara, albo chociaż w średnim wieku, albo trzydziestoletnia, to jestem wspomnieniem.

Teraz, gdy jestem we Włoszech i obserwuję pierwszy od 2012 roku w tym regionie śnieg, czuję się niczym więcej niż ciekawostką. Za parę lat powiem – och, tego pewnie nie wiesz, ale mówię po włosku. Nie, zupełnie bez głębszego powodu, chyba dlatego, że obejrzałam raz film, którego miejscem akcji była Cremona. Ale mieszkałam trochę w Rzymie, trochę w Bolonii, mam nawet licencjat. Nie, nie wiem co myślałam i po co to było (nawet nie dotarłam nigdy do Cremony); może właśnie po to, żebym mogła potem komuś powiedzieć takie trzy zdania.

W moich wspomnieniach nigdy nie pada śnieg.

On już leży na ziemi, na chodnikach, topnieje albo na asfalcie, albo w dłoniach dzieci w wieku podstawówkowym, biegających po lodzie w za dużych kozakach po wigilii klasowej. Wiem, że śnieg pada z nieba, prószony na nas z ciężących, ciemnych obłoków. Ale nie we wspomnieniach. Jest czymś, co już się stało, faktem i stanem, a nie ruchem, spadaniem, byciem, wywiewanym z dachów. Mogę wyobrazić sobie, że spada, ale to byłoby kłamstwem. Mogę też wyobrazić sobie, że powoli unosi się z zasp w powietrze, a potem wiruje w górę, w stronę ciemnych chmur. Czemu to miałoby być większym kłamstwem?

Paradoksalnie świadomość tego, że jestem wspomnieniem jest uspokajająca. Oznacza, że jestem, moja egzystencja to stan, nad którym nie mogę zapanować, choć nie tracę kontroli.

Jest ona wyrazem przyszłości, która już wie co się stało. Niezależnie od tego, co się stało. Stany takie jak egzystencja zmieniają się,

tak jak śnieg zamarza jak twarda skorupa, pokrywająca pola rzepaku, bywające tak intensywnie żółte pod świeżym, majowym słońcem,

rozstępuje się pod podeszwami przechodniów, spieszących się na szare metro pod Pałacem Kultury,

topnieje i zmienia się w błoto pod kołami aut ludzi, którzy wracają w korkach z pracy.

To wszystko zostało wliczone w stan bycia śniegiem.

To fakty. Więc będąc wspomnieniem, jestem faktem, nie mogę być kłamstwem ani błędnym wyobrażeniem. Mogę być zdeptywana, roztopiać się, blokować ulice, albo przynosić radość na stokach narciarskich. Mogę, ponieważ stan bycia, wynikający ze wspomnieniowości, to zakłada. Moja przyszłość już wie i akceptuje ten punkt, to wspomnienie, jakim jestem teraz. Bez bycia wspomnieniem nie miałabym przyszłości, tak jak bez przyszłości nie byłabym wspomnieniem.

Śnieg pada nawałnicami na górskich szlakach, delikatnie wędruje na rzęsy zarumienionych nastolatków, metodycznie prószy na opuszczone budowle deweloperskie, przecina niebo tak, jak zostanie przecięty przez ślady sanek. Spada. Śnieg zawsze związany jest z procesem spadania. Wspomnienia przyjmują różne formy, czasem chwieją prawdą, czasem burzą wyobrażenia, czasem są spojrzeniem w spuchnięte starością lustro, czasem mignięciem w witrynie sklepu mięsnego jednego z uśmiechów, który przyczyni się do powstania delikatnych zmarszczek dookoła ust.

To fakty. Związane z procesem przeżywania, co nie jest jednak niezmiennie. To zależy od ich celu, od tego, co oznaczają w przyszłości, z którą są tak mocno związane. Śnieg, który się nie lepi, nie nadaje się na bałwana.

Podjmując jakąkolwiek decyzję, podejmuję decyzję, która już została podjęta. Nie muszę martwić się o wspomnieniowość. Śnieg zawsze spada z chmur, wiruje z nieba, to fakt. Zawsze trafię do przyszłości, a w przyszłości to, jak się tam dostałam, to fakt. A to, czy śnieg spada by stopnieć, nigdy się nie zmieni. Może zmienić się to, jak okazywał swoją śniegowość między opadnięciem a stopnieniem. Był śnieżką, studiowałam włoski? Był puchem na grobach, bałam się ciemności? Był anomalią na Saharze, nie złamałam nigdy kości?

Był śniegiem. Jest śniegiem.

A ja?

Jestem wspomnieniem.

Jagoda Marcinkowska – zawieszona między dwoma kierunkami studiów, między Warszawą a nie-Warszawą, między prozą a poezją, między herbatą a brakiem czajnika. Szydełkuje, jeździ na wrotkach i piecze wegańskie słodkości. Czasem publikuje zdjęcia na Instagramie @sercewrozterce.

Droga A³

Jowita Mazurkiewicz

Rozczarowałaś mnie dzisiaj. Nie dałaś sobie rady ze światem, który mnie otacza i który miałaś tak sprawnie wygładzać, wygłuszać, wy

Wyrzut serotoniny. Ale nie wiem, skąd dokąd, komu poczyniony, jak wypowiedziany, czy to cichy wyrzut, czy wyrzut publiczny, czy wolno mi go wykrzyczeć na wykładzie, na wycieczce, na wy

Nie wiem, co robisz z moim ciałem. Nie wiem, kiedy wytracasz się ze mnie, a kiedy wywracasz na nice.

Psychiatrka mi nie wyjaśniła, wypisała tylko receptę i wyszła, a gabinet był wy

Więc nie wiem, co mogę ci wypomnieć. Że nie czułam się dzisiaj szczęśliwa? Że nie chciałam wstawać z łóżka i wystawać na zimnie, chociaż miałam do kogo i z kim? Że nie rozwiązujesz problemów innych niż te, które sama wytwarzasz, wyrzucając się ze mnie do mnie we mnie i znowu i 9:00 wybiła i trzeba wy

Podobno wcale nie masz weselić mnie, wspierać, czy wkręcać, że to wszystko ma jakiś sens. Masz tylko wypoziomować, masz stabilizować, masz być tak, jakby cię nie było, więc kiedy wypytują mnie, jak się wy

To mówię, że nie wiem, bo nie pamiętam, jak to było, zanim było źle i czy kiedykolwiek, czy kiedykolwiek

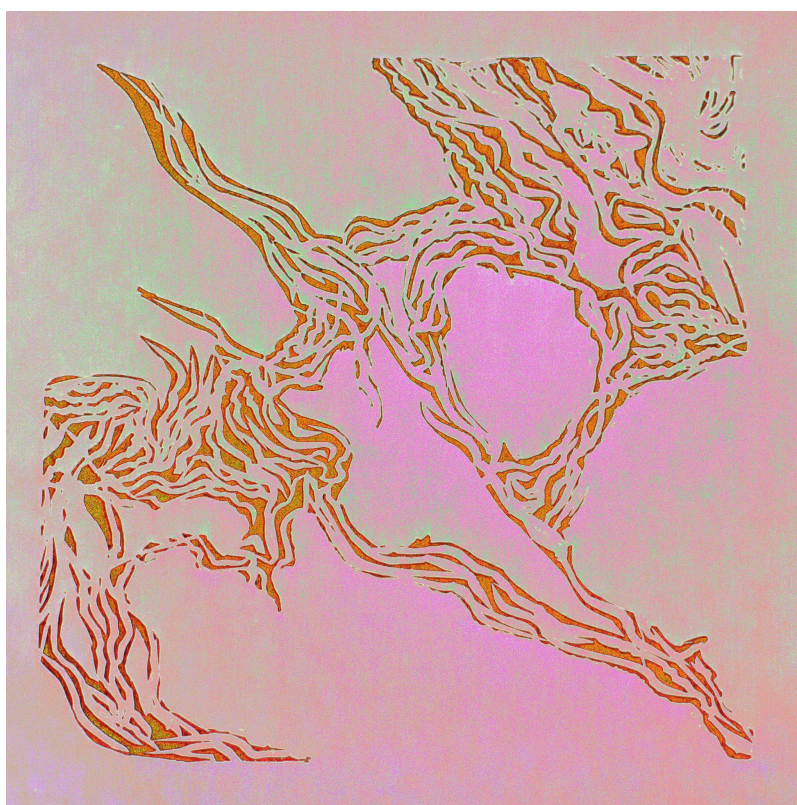
I co to w ogóle znaczy

Równowaga. Wyważony humor. Wysnuwanie wniosków. Wyrzucanie opróżnionych blistrów. Wyliczanie dni i

Droga A*

żeby mnie wyrównać, musiałybyś mieć punkt odniesienia. A skąd się taki wy

³ Lek o działaniu przeciwdepresyjnym, należący do grupy inhibitorów wychwyty zwrotnego serotoniny, pełna nazwa opuszczona ze względów przeciwrzeczliwych.



Zdjęcia i grafiki:

Okładka – Marcin Salwin | @_salwin

str. 3 – Gosia Herba | @gosiaherba

str. 20, 24 – Aleksandra Paszko | @pazsko.takes

str. 8 – Agnieszka Cioch | @cioch_aga

str. 15 – Iga Malinowska | @igamalinowska_

str. 30, 34 – Julia Kacała | @julkacala_art



Internetowy Magazyn Literacki "Składka"
Warszawa 2022



Warszawa 2022